Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Są..

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 37 (692) 10 WRZEŚNIA 1932 R.



2.VI.1932 został w bestjalski sposób (uduszony sznurami) zabity łoś przez właściciela majątku Jana Kleczkowskiego w wiosce Wyciory, gminy Dokszyce, pow. Dziśnieńskiego. Na zdjęciu: 1) kom. posterunku Pol. Państwowej w Dokszycach, 2) inż. Jan Reichert zast. Nadl. N-ctwa Dziśnieńskiego, 3) leśniczy las. państw. Dudda, przy przeprowadzaniu śledztwa

MYŚLIWSKI KONKURS FOTOGRAFICZNY

Dążąc do udoskonalenia strony ilustracyjnej pisma, redakcja „Łowca Polskiego" dorocznym zwyczajem ogłasza myśliwski konkurs fotograficzny.

P. P. Myśliwi zechcą nadesłać nam ciekawsze i piękniejsze zdjęcia łowieckie, które mogłyby się nadać do reprodukcji w naszem piśmie.

Na zdjęciach podać należy: krótki tytuł zdjęcia, nazwę miejscowości i powiatu oraz godło autora fotografji.

Nazwisko i adres, wypisane wyraźnie, pomieścić należy w oddzielnej, zaklejonej kopercie, opatrzonej tem samem godłem, co i nadesłane fotografje. Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z polowań, zwierzyna żywa i ubita, piękne psy myśliwskie i trofea łowieckie.

Nagrodę I-szą stanowić będzie suma zł. 100,
„ II-gą — zł. 50,
„ III-cią i IV-tą — roczna bezpłatna prenumerata „Łowca Polskiego",
„ V-tą — półroczna prenumerata „Łowca Polskiego".

Jury składa się z członków Komitetu Redakcyjnego.
Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 13 października r. b.

UWAGA: Warunkiem otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie wyraźnej i przejrzystej reprodukcji — jest ostra fotografja, właściwie eksponowana i odbita na papierze bromosrebrnym. Najbardziej pożądany jest kolor odbitki czarny; koloru sepjowego mogą być tylko odbitki bardzo ostre i wyraźne.

Redakcja „ŁOWCA POLSKIEGO"

ODCZYT, REPLIKA I HOMER.

Przywilej tolerancji przyznawany zwykle żywemu słowu wygłaszanemu z katedry, kończy się z chwilą kiedy w grę wchodzi papier i martwy druk. — Verba volant, scripta manent. — Zwracając się wprost do zamkniętego grona słuchaczów, poziom, pojęcia a nawet upodobania i uprzedzenia których są mu znane, mówca skłonnym bywa, nieraz bezwiednie może, ot tak, dla większego efektu i dla pobudzenia uwagi, na przywilej ten liczyć i pofolgować fantazji.

Przemawia w czterech ścianach, do swoich więc, używając słów p. Pawlikowskiego „komu to szkodzi i komu co do tego". — W najgorszym razie, jeżeli zabłądzi na salę niechętny dyletantyzmowi skrupulat — śledziennik, zagraża mówcy przelotna dyskusja i zarzut, że temat opracowany jest niedostatecznie. — Słuchacze jednak familijnych takich, zresztą sympatycznych wielce, odczytów rzadko tylko bywają pedantami i większe nawet, powiedzmy — przeoczenia w treści wybaczają łatwo. — Inaczej z drukiem. — Nić sympatji wiążąca mówcę ze słuchaczami została zerwaną. Pozbawione skrzydeł wymowy, uwięzione czarno na białem, słowo zatraca ciepło życia i magiczną siłę suggestji. — W zacisznem skupieniu gabinetu, sam na sam z zimnym papierem, miejsce usposobionego polubownie słuchacza zajmuje wolny od nastroju sali wykładowej i skłonny do niebezpiecznej medytacji czytelnik. — Tem pilniejszy jeżeli, jak to ma miejsce w naszym przypadku, mówca — autor piórem jest cenionem, a tem baczniejszy, jeżeli tezy i wnioski artykułu podane są w superlatywach, jako nie ulegające wątpliwości i nie podlegające dyskusji aksjomaty. — Cenne dla odczytu: swada mówcy i bogactwo słowa małą tylko rolę odgrywają w drukowanym artykule, w którym czytelnik szuka: myśli przewodniej, związanych z nią rzeczowych podstaw rozumowania i wysnuwanych z rozumowania takiego wniosków. — Zbytecznem oczywiście byłoby wspominać o języku, jako takim, i o pewnem minimum form przyjętych dla drukowanego słowa wogóle.

Dla przeciętnego czytelnika popsutego doskonałą budową, jasnem ujmowaniem sprawy i ścisłością dowodzenia, właściwym fachowym rozważaniom p. Pawlikowskiego, ogłaszanym w Łowcu Polskim poprzednio, przedruk odczytu „O pięknej literaturze łowieckiej w Polsce" prawdziwą jest, powiedzmy otwarcie, niespodzianką.

Daleki jestem bardzo od zamiaru rozpatrywania tu i dalszy jeszcze od krytykowania powyższego artykułu, jako całości. — Temat opracowany w nim jest tak indywidualnie, a odnośne przesłanki i wnioski, oparte na osobistych wrażeniach Autora, sformułowane są tak bezwzględnie, że zarówno analiza tego credo, jak jego krytyka przekraczają siły najuważniejszego czytelnika. — O rozwiązanie częściowe niełatwego tego zadania pokusił się p. W. Zabiełło (Ł. P. Nr. 24) probując odszukać myśl przewodnią, jaka kierowała autorem, kiedy klasyfikował łowieckich autorów polskich i następnie p. J. Dylewski (Ł. P. Nr. 28), który rzecz ujął szerzej i, widocznie pod wrażeniem tonu, w jakim utrzymany jest artykuł p. Pawlikowskiego, charakteryzuje stosunki i obyczaje panujące dziś w piśmiennictwie naszem, łowieckiem i niełowieckiem.

Prace powyższe obiedwie dowodzą niewątpliwie: że temat odczytu jest na czasie, ciekawy i opracowany oryginalnie.

Zastrzegając raz jeszcze, że nie zamierzam bynajmniej poruszać tu osobistych poglądów i upodobań Autora, ośmielę się jednak, bądź prostować, bądź uzupełnić niektóre szczegóły co, przekonany jestem, nie bez korzyści będzie, dla tematu i dla czytelników. Po za tem, apelując do bezspornego prawa, jakie przysługuje czytelnikowi, wyrazić pozwolę sobie pewne wątpliwości tyczące języka i formy, t. j. szaty w jaką ubierał — pojęcia swe Autor, kiedy wyprawiał je w szeroki świat.

Szczegóły są oczywiście drugorzędne, niezdolne wypaczyć myśli przewodniej ani zmienić poziomu artykułu.

W studjum jednakże, w którem mowa jest o profesorskiej katedrze uniwersyteckiej, mankamenty pewne, drobne nawet, rzucają się w oczy i rażą czytelnika.

Postaram się być rzeczowym i, naśladując p. Pawlikowskiego „szczerym i stanowczym". — Więc o języku mowa. — Jak dowiedzieliśmy się z odnośnego ustępu, odczyt wygłoszony we „własną" Środę przez p. Pawlikowskiego przeznaczony był dla literatów t. zn. dla ludzi, z natury rzeczy, lubujących się w dobrym układzie i w piękności słowa.

Okoliczność ta upoważnia czytelnika do pewnego oczekiwania i do — pewnych wymagań. — Noblesse oblige. — Nie chcąc być posądzonym o nadmierną wrażliwość, plastyczne skądinąd porównanie świata myśliwych w społeczeństwie do wyspy z rozbitkami pływającej wśród bałwanów, pomijam. — Nie umiem za to ukryć zdziwienia, że Autor tak zwykle wybredny, tak uważny w doborze terminów, nieznalazł w swym słowniku określeń równie dosadnych i równie, jak nazywa to p. W. Zabiełło „soczystych", a smaczniejszych niż trywjalny „bęcwał" i śmiesznie niesympatyczny, z niemieckiego żywcem brany „bubek". Ten ostatni termin zwłaszcza, choć używany w mowach politycznych przez naszych mężów stanu, dotąd w literackim, t. j. poprawnym, języku polskim, o ile wiem, prawa obywatelstwa nie pozyskał jeszcze.

A wszak o literaturze i to o literaturze pięknej mowa. — Podstawowe dalej wymagania i prawa języka wręcz sprzeciwiają się całkiem dowolnemu, a niewłaściwemu używaniu wyrazów w znaczeniu, którego wyrazy te nie mają i nie miały nigdy. — Język polski na tyle już jest wyrobionym i na tyle zasobnym, że znaleźć można odpowiedni wyraz w każdym przypadku, wówczas zwłaszcza, kiedy chodzi o pojęcia codzienne, utarte. — Wystarczy wziąść do ręki pierwszą z brzega encyklopedję albo słownik, ażeby przekonać się, że „istoty egzotyki" nie stanowi, ani „dzika natura", ani najwięcej niezwykłe „doznania i przygody". — Egzotyka, egzotyczny (z greck.) oznacza we wszystkich, bez wyjątku, językach: „daleki, zamorski, z obcego klimatu, z innej

strefy, nic z miejscowem nie mający wspólnego". „Na miejscu" więc, a tem więcej „narodowej egzotyki" mieć nie można żadną miarą. — „Tak nudne dla wilnianina (dla warszawiaka także) „równie mazowieckie" nie tylko „elemenciku", ale śladu nawet egzotyki taić, mimo najdalej posuwanej licentia poetica, nie mogą.

— Mały przykład: — p. X. polując wśród „dzikiej natury" w Karpatach lub na Polesiu podrapanym został przez niedźwiedzia na śmierć. — Doznanie i przygoda stanowczo niezwykłe, a śmierć romantyczna, myśliwska, dla entuzjastów łowiectwa może piękna nawet, ale—na tem koniec. — P. Y. zaś, zwiedzając Brazylję, zaraził się zwykłą dysenterją i, najbanalniej w świecie, w łóżku, umarł również. — Śmierć miał mimo to, z naszego (i swego zresztą) punktu widzenia oczywiście, egzotyczną par excellence. — Językowe niedopatrzenia, jak powyższe, są wręcz niebezpieczne, bo zrodzić mogą podejrzenie, że Autor, albo lekceważy czytelnika, albo posługuje się wyrażeniami, znaczenia których nie zna. Takich rzeczy druk nie lubi.—

— Ażeby skończyć że sprawą języka, słowo o tytule odczytu. — Stosowany częstokroć w znaczeniu—dobry — doskonały, przymiotnik „piękny" wymaga w użyciu pewnej uwagi, bo już samo postawienie go przed lub po rzeczowniku, do którego się odnosi, zmienić może znaczenie. „Piękna literatura" nie koniecznie jest synonimem „literatury pięknej", w znaczeniu beletrystyki, a nie co innego miał na myśli Autor. — Wszak poprawnie zupełnie mówi się i pisze często: „piękny dorobek naukowy", albo „piękna literatura techniczna" choć, ani pierwszy ani druga z pojęciem piękna i estetyki wspólnego nie mają nic. — „Piękny" wyraża tu raczej pochwałę, uznanie. — Zrozumieć oczywiście można o co chodzi; po przeczytaniu artykułu zwłaszcza. Składnia jednak wolałaby szyk słów następujący: „Łowiecka literatura piękna w Polsce". Treści zaś artykułu odpowiadałoby najlepiej, zgodne zresztą z gramatyką zupełnie, „Łowiectwo w literaturze pięknej w Polsce". — Akademickie uwagi powyższe nudne są niewątpliwie, zbyt pedantyczne i w dzisiejszej literaturze nie na czasie...

— Przepraszam za nie czytelników i Autora. Ale—co druk to druk, odczyt był dla literatów, no i ta — profesura.

Trudnem jest zadaniem odszukać i trudniejszem jeszcze utrzymać nić myśli przewodniej, za jaką szedł p. Pawlikowski, wygłaszając i drukując swój odczyt.

Po udatnym bardzo i jędrnym wstępie charakteryzującym poglądy ogółu na myślistwo i na myśliwych, czytelnik zaczyna błąkać się i gubi wątek, którego nie odnajduje już do końca.

Autor zastrzega wprawdzie, że „pogawędka ramy ma bardzo wąskie" a temat potraktowany będzie pobieżnie i w dowolnem streszczeniu, ale jednak. Ramy nie mogą być zbyt wąskie ze szkodą treści i czytelnik chciałby wiedzieć, o co chodzi, co ma na myśli, do czego zmierza autor. Rzecz tymczasem tak pełną jest dowolności i dygresji, że najuważniejszy czytelnik podążyć za autorem nie jest wstanie. Winną temu jest niewątpliwie, w znacznym stopniu, rozbieżność tytułu z treścią samego studjum. „Piękna literatura łowiecka"... — Więc łowiecka; piękna, ale łowiecka, co zresztą podkreśla Autor wielokrotnie. Nie o beletrystykę więc ogólną, nie o historję, nie o poezję chodzi, a wyraźnie o literaturę łowiecką. Na taką nutę nastraja czytelnika tytuł. Mówiąc o autorach łowieckich, p. Pawlikowski uprzedza, że mówić będzie tylko o pisarzach łowieckich żyjących i to nie wszystkich, bo żmudną tę pracę pozostawić woli p. J. W. Kobylańskiemu, „jedynemu" w Polsce bibljografowi łowieckiemu *). Więc o żyjących pisarzach i to o niektórych tylko, mówić będzie autor; zawsze o łowieckich oczywiście. Czytelnik przeciera oczy i czyta: Krasicki, Mickiewicz, Dygasiński, Sienkiewicz. Nie



Jesienią pod Lwowem. Fot. inż. K. Weiss.

*) P. Pawlikowski nie wie zapewne o zasługach i o zbiorach bibljograficznych prof. W. Ziembickiego we Lwowie. Bogaty w cenne białe druki sięgające początków XVI w., sam łowiecki dział księgozbioru prof. Z. obejmuje do 7.000 numerów. Z dostępnych i znanych, jest to niewątpliwie, najbogatszy i najstaranniej dobrany księgozbiór łowiecki w Polsce. — Prace i notatki bibljograficzne prof. Z. (prace Wodzickiego, Ubysza, Dzieduszyckiego i t. d. i t. d.) drukowane były wielokrotnie w Łowcu (Lwów) i w „Łowcu Polskim". — Drugim, co do wartości i co do bogactwa, jest księgozbiór prof. J. Smelańskiego; we Lwowie również.—Dział łowiecki około 4.000 numerów.—Nikt nie zapoznaje zamiłowania, pracy, benedyktyńskiej cierpliwości i mrówczej skrzętności p. J. W. Kobylańskiego, wyniki których znamy i oceniamy wszyscy. — Prawda jednak i ścisłość nie pozwalają zamykać oczów i każą stwierdzić, że nie jest bibljografem (bibliofilem?) „jedynym w Polsce" a miejsce zajmuje drugie dopiero lub trzecie. Po co pisać — jedyny.

żyją wszyscy i nie łowieccy pisarze. Aha! nawiązanie do przeszłości. — Dowiemy się, jak powstawała i jak rozwijała się piękna literatura łowiecka w Polsce.

Czytelnikowi - myśliwemu robi się markotno trochę, że p. Pawlikowski nie wspomniał tu, z imienia choćby, Kazimierza Wodzickiego. Nie żyje także, ale zato pisarzem był bardzo łowieckim, a trzy lata temu dopiero, w 1929 r., kiedy jego „Wspomnienia z życia łowieckiego" wydane zostały po raz trzeci, Zdzisław Dębicki pisał w sprawozdaniu krytycznem, że „uważane są słusznie za arcydzieło literatury łowieckiej".

Wielkie cienie, ziemskie imiona których wymienia Autor w odczycie, przyjęłyby go do dostojnego swego grona niewątpliwie. Nie z piękną literaturą łowiecką zatem, a z beletrystyką ogólną ubiegłych czasów wiążą się rozważania. O autorach za to i o łowieckiej literaturze pięknej z tej samej epoki, odczyt milczy. Wogóle, w studjum swem p. Pawlikowski mało zajmuje się literaturą piękną szczerze łowiecką i, wbrew zapowiedzi, uwagę i krytykę poświęca raczej dużej roli, jaką odgrywają motywy łowieckie w sztuce i w beletrystyce ogólnej. Można i tak. Temat niewątpliwie wdzięczny i ciekawy, ale — tytuł obiecuje co innego. Ztąd pewne wykolejenie, zawód i pomieszanie pojęć a nawet, coś jak wrażenie, że łowiectwo samo dla siebie, łowiectwo tout court, nie wystarcza jako temat i należy cukrzyć je zlekka flirtem i miłością. O literaturze pięknej, ściśle łowieckiej, jako takiej, autor odzywa się krótko i lapidarnie.

Treść przedruku, rozumie się, czytelnicy Łowca Polskiego znają.

Więc nieubłagana, druzgocąca krytyka grafomanów. Może dla „artystów przeżywających straszną tragedję impotencji formalnego uzewnętrznienia się", zbyt surowa nawet. Nie każdemu los do kolebki wkłada złote pióro, a tak trudno nieraz przeciągnąć granicę. No i takie czasy „nastali" — grafomanja, biurokracja. Doprawdy zbyt surowo chyba. Wszak „i na bagnie rosną kwiaty" i w „melanżu", ba! na śmieciach nawet znaleźć można perły. Jako kontrast, po grafomanach — pierwsza klasa. Krótka ocena czołowych trzech autorów łowieckich: romansopisarza, poety i myśliwego, poczem alfabetyczna rejestracja nazwisk, uzupełniona homeryczną charakterystyką poszczególnych autorów; od młodych do sędziwych i od rokokowych (jednego nazwiska zresztą) do wytwornych. Potem dalsza klasyfikacja: dział gawędziarzy i dwa podgatunki pieczeniarzy, z których drugi sympatyczny bywa nawet i niekiedy pożyteczny. Handicap pierwszej klasy ograniczony (ciasne ramy), 8 numerów tylko. Obiedwie klasy: zawodowców i niezawodowców, razem. Na Olimpjadach bywa inaczej. Ale nie w tem rzecz; kto zasłużył ten zasłużył. Pierwsze miejsca, nie można sprawiedliwiej. Conajwyżej, jak dowieść tego próbował p. J. Dylewski, czytelnika - myśliwego mogło zaboleć serce, że faworyt ogólny świata myśliwych, ceniony tak bardzo i odczuwany, wielki myśliwy i wielki artysta Korsak, przychodzi trzecim; ledwie „plasowany". Wtrącić tu ośmielę się małą dygresję: Weyssenhoff stoi zbyt wysoko, żeby podwyższać go cudzym kosztem. Turgenjew śpi w grobie spokojnie, a p. Pawlikowski nie porównywał widocznie utworów Weyssenhoffa, choćby tylko z łowieckimi utworami markiza de Foudras, Löns'a i Perfall'a. Cieszmy się, że go mamy, bądźmy dumni z takiego, jakim jest, ale nie przeceniajmy. Prawdziwa wielkość nie potrzebuje sztucznej chwały. Nie wiem oczywiście, jak oceniać może artystyczną i łowiecką wartość „Puszczy" „prawy Mińczuk". Bronić jednak muszę Weyssenhoffa wobec niesłusznego zarzutu, jaki robi mu w krytyce swej p. Pawlikowski za pominięcie w brylantowej kolji „Sobola i Panny", najwspanialszego ogniwa; pieśni głuszca. Rok jest pod znakiem jubileuszu i pożegnania zgasłego pisarza, więc sprostowanie na czasie. A zatem: w roku 1911, kiedy ukazał się w druku „Soból i Panna", Weyssenhoff nie znał jeszcze pieśni głuszca i toków, na których był poraz pierwszy u pp. Kieniewiczów w Bryniowie, dn. 7.IV.1913 r.

Nie mógł więc mimo talentu, opisywać w r. 1911 tego, co usłyszał i zobaczył dopiero w r. 1913. Pod wpływem głębokiego wrażenia właśnie, jakie wywarła na artyście; puszcza, wiosna poleska i tokujący głuszec, przyszło natchnienie i narodziła się w 1914 r. „Puszcza". Wcześniej nie można było.

Ponieważ utwór dedykowany jest Kieniewiczom, u których gościł i polował autor, „Puszcza", według klasyfikacji p. Pawlikowskiego, typowym byłaby przykładem, literatury pieczeniarsko-sympatycznej. Swoiście i nie dla każdego zrozumiale określa p. Pawlikowski łowiecko-literacką działalność, drugiego w klasie pierwszej, Ejsmonda. „Fanatyk łowiectwa" budził jakoby „piekącym jadem satyry miłość do przyrody"! Smutna taka miłość!

Piekącym jadem satyry obudzić można, conajwyżej, — szczery snobizm.

Tak przedstawia się przeciętnemu a uważnemu czytelnikowi w najogólniejszych zarysach treść „Pięknej literatury łowieckiej w Polsce".

— — — — — — — — — — — — —

Na zakończenie krótka uwaga jeszcze o sposobie pisania, czyli o t. zw. formie literackiej. Uderzającym w odczycie i wysoce indywidualnym jest przedewszystkiem ton.

Okólnik, nie okólnik, ustawa, nie ustawa. Niewątpliwe, właściwe p. Pawlikowskiemu bogactwo i łatwość djalektyki sprawiają, że ze słowami i, co gorsze, z ich znaczeniem liczy się niechętnie. Właściwości tej, zdaje się, przypisać należy rozrzutną szczodrość z jaką stosuje, wygłaszane bez zastrzeżeń, krańcowe orzeczenia i epitety, tem jaskrawsze, że rzucane są przeważnie forte i fortissime.

Autor słabość ma zdeklarowaną do określeń jędrnych, nie podlegających dyskusji i wątpliwości nie budzących żadnej. Odczyt roi się od przymiotników jak: „bezkonkurencyjny", „bezapelacyjny", „jedyny", „zmanierowany", „rokokowy", „porządnie nestorowaty (?)", sędziwy trubadur", „najwytworniejszy", „najdowcipniejszy", „kretyński (?)" i t. p. i t. p. Czytelnik nie potrzebuje zastanawiać się i łamać głowy, bo określenia otrzymuje gotowe, w redakcji ostatecznej. Styl taki pożądany jest może i przyjęty w papierach urzędowych, w literaturze jednak, pięknej zwłaszcza, czytelnik zachować pragnąłby odrobinę własnego zdania. To jeszcze wolno.

W zestawieniu z alfabetycznym wykazem, lapi-

darna taka charakterystyka osób robi wrażenie, że tak powiem, rewolwerowe trochę. — P. Pawlikowski poucza wprawdzie w replice, że to niby tak jak Homer. No tak, zapewne, być może. — Wszyscy posługujemy się od czasu do czasu, wyrażeniami dosadnemi, soczystemi, t. j. „homerycznemi". W potocznej mowie, ludzie pewnego poziomu, nawet wysoko postawieni, wprost lubują się w określeniach homerycznych. — Na papierze jednak nie „wychodzi" dobrze, jeżeli ich nadużywać. — Bądź co bądź, od czasów Iljady upłynęło już ładnych parę lat. — Świat miał czas zmienić się; nabrał uprzedzeń i wymagań. Telefony, aeroplany, radio, no i ten nieszczęśliwy druk. — Homer chadzał w przewiewnej todze — a my! Niechby tak kto, w największy upał. — Wiadomo — administracyjnie. Zresztą, jak mawiać zwykł był nieśmiertelnej pamięci Roch Kowalski: Homer to Homer.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Czy to przez nabytą rutynę, czy przez wrodzoną ścisłość, p. Pawlikowski lubi uzupełniać charakterystykę pisarzy łowieckich danemi metrykalnemi, jak: młody, sędziwy, porządnie nestorowaty. — Przypomina to rysopisy w paszporcie — albo odpisy aktów stanu cywilnego, a do rzeczy, właściwie, niema nic. — Komu te dane potrzebne, zapytuje w duchu czytelnik. — Czy utwór danego autora gorszym jest, czy lepszym, jeżeli pisanym był wcześniej lub później? a chyba o to chodzi jedynie. — Czy za winę ma być poczytane, czy za zasługę, że ojciec wcześniej albo później był — w natchnieniu. — Według kodeksu nawet, dzieci nie odpowiadają za rodziców. — W Chinach powoływanie się na cudzy wiek, podeszły zwłaszcza, oznacza uprzejmość i należy do dobrego tonu. — W dobrej, zręcznej polszczyźnie jednak, pod kwiatkiem, oznacza mniej więcej: „owszem, owszem, niczego, pierwsza klasa, ale — młody jeszcze jesteś kawalerze". — Albo: „owszem, dobrze, pierwsza klasa, ale — stary już jesteś łaskawco". — Puste słowa, na wiatr, ujmy nie przynoszą, ale i nie określają wartości pisarza; więc na co. — P. Pawlikowski utrzymuje, że można epitety, bo Homer, więc „co do tego nie może być dwóch zdań". — Owszem, może być i są. — Protekcjonalnego takiego klepania po ramieniu a la brat Łata czy, jak mówią Francuzi, ami cochon ludzie nie bardzo lubią a nawet, niektórzy, bardzo nie lubią i wymagają zachowania pewnego — dystansu. — Przed wojną określano odruch taki: „ręce przy sobie!". — Wzamian za zbytnią „przyjacielskość", otrzymać można replikę — nie zawsze słodzoną. — Jako przykład, epizod z życia. — Czytaliśmy o babce niech będzie o dziadku. — W klubie, starszy, beztroski pan, taki właśnie, jak lubi p. Pawlikowski: wytworny, dowcipny i rasowy, gra w bridge'a. — Za nim stoi, dobrze ubrany i prawie dobrze wychowany, młody „kibic".— — W pewnym momencie młody człowiek ryzykuje uwagę: „to dziadzio słabo zagrał". — Starszy pan odwrócił się popatrzył: „diadzio!? — nie przypominam sobie, żebym znał pańską babkę". Tableau! Honor babki, afera, świadkowie, sąd. — No i wyrok: „Nie można być dziadkiem bez babki". — Czy nie pouczające zdarzenie?

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Skromne uwagi powyższe, notowane w miarę odczytywania studjum, podaję tu oczywiście w swojem wyłącznie i tylko w swojem imieniu. — Śmiem żywić ciche przekonanie, że nie bez wartości byłyby dla „Filozofji łowiectwa" jaką obiecuje nam p. Pawlikowski.

ST. ZABOROWSKI.

LEŚNICZÓWKA NA MOCZARACH.

(Dokończenie).

Leśniczy nie podejrzewał wcale, że jest śledzony na każdym kroku. Gdyby się kiedy nagle obejrzał, z pewnością zdołałby zauważyć za krzewem lub pniem drzewa obrośniętą twarz i błyszczące złowieszczo oczy Wincentego.

W sobotę, jak zwykle, siadł na konia, aby zawieść do poszczególnych gajówek tygodniówkę. Ledwo zniknął w lesie, za zakrętem drogi, kiedy z olszyny wynurzyła się ludzka postać i trzykrotny gwizd rozdarł powietrze. Potem jeszcze jeden — krótki. Tym razem nie czekał wcale. W oknie ukazała się blada twarz Marysi, dającej ręką znaki, że można wejść.

Obejrzawszy się trwożnie w stronę psów śmignął ku drzwiom i za chwilę stanął przed śmiertelnie zastraszoną dziewczyną. Nie zdejmując czapy z głowy zaczął:

— Gadaj, powiedziałaś czy nie Szwabowi, żem flintę zabrał?

— Nie... Bałam się, aby mnie nie wyrzucił... — wyszeptała cicho.

— A mówiłaś mu, że odejdziesz?

— Nie...

— To mu powiesz jutro, a dziś, jak wróci, poprosisz, aby sprawę o kradzież galaków na Zachaciu — wycofał. Jeszcze można. On musi to zrobić, a ty zrobisz wszystko, czego on od ciebie zechce! Rozumiesz?

— Wiciuk, na litość Boga, czyś oszalał? Ty mnie do tego zmuszasz?

— A ty, gołąbko jasna, myślałaś, że ja dla głupich dwóch sztuk budulca mam w kryminale siedzieć? O, tybyś chciała, ja wiem, żebym nawet zgnił w kryminale, żeby głodem mnie zamorzyły Szwaby.. Ale niedoczekanie wasze! Gdzie są papiery i pieniądze, pokaż! A tymczasem daj się pocałować, już jak ma co być, to niech ja będę pierwszym...

I szedł ku niej — straszny jak zwierz i cuchnący wódką i odorem starych gałganów. Dziewczyna chwyciła za wrzeciono: — Nie dam się! — krzyknęła dziko.

Cicho otworzyły się drzwi i stanął w nich leśniczy. Po drodze zauważył, że zapomniał list płacy i wrócił się. Trafił na scenę, jak wrzeciono trzasło pod na-

porem draba, a dziewczyna ciężko opadła na ławę pod piecem.

— Tyś znowu tu! Rabusiu! — krzyknął Przybysz, odbezpieczając rewolwer. Wincenty zwinął się jak wąż, chwycił siekierę leżącą pod piecem i skoczył ku leśniczemu. Ten pociągnął cyngiel. Rewolwer zaciął się... Pod ciosem wznoszącej się siekiery zasłonił się Przybysz dłońmi, ostatnia myśl była: „A tak dawno chciałem naoliwić broń! Chyba nie ośmieli się... podnieść rękę na urzędnika w niemieckim mundurze?"...

Mózg, który wypłynął z jego czerepu zaświadczył, że Wiciuk — ośmielił się.

Teraz zbrodniarz przystąpił do rzeczy. W wielką chustę zebrał co cenniejsze rzeczy i żywność, zemdloną dziewczynę położył na łóżku, potem wszystkie sprzęty oblał naftą, posypał suchą żywicą z beczki, których cały szereg stał w sieni (był to plon całego lata), starannie podpalił w paru miejscach i, wychodząc, podparł drzwi kołem. Sam stanął w gąszczu olszyny w pobliżu i z lubością łowił uszami wycie psów, rżenie konia, krzyk domowego ptactwa i trzask palącego się, wysuszonego drzewa. A kiedy pióropusz dymu i języki ognia wzbiły się wysoko ponad konary dębów i zostały prawdopodobnie zauważone w okolicy — oddalił się nie śpiesząc i dźwigając swój krwawy łup. Ostatnie jego słowa brzmiał:

— Niema co, robota czysta...

•

Rozrzucając resztki zwęglonego domostwa posłyszeli ludzie, biorący udział w akcji ratowniczej, stłumione jęki, dochodzące jakby z pod ziemi. Po dłuższej chwili dostano się do piwnicy, której część zachodziła aż pod piec chlebowy w sieni i tam nawpół uduszoną, całą obrzuconą kiszoną kapustą, znaleziono Marysię. Od niej też zasięgnęły władze śledcze informacji o przebiegu zbrodni, gdyż pierwotnie skłaniano się ku przypuszczeniu, że miał tu miejsce zwykły, nieszczęśliwy wypadek, tembardziej, że leśniczy był naogół lubiany i wrogów nie miał. Pewne wątpliwości wzbudzał fakt, że wypadek zdarzył się akurat w sobotę, kiedy były u Przybysza pieniądze — teraz zagadka została wyjaśniona.

Do pracy w boru przyjęto młodego człowieka, który wprawdzie mało pracował, kiepsko mówił po polsku, natomiast dużo nadsłuchiwał i myszkował po lesie. Ale o Wiciuku słuch zaginął.

Marysię, która nagle stała się okoliczną sławą, przytuliła litościwa księża gospodyni. Była to osoba wielkiej tuszy, ostrego języka i szalenie lubiła słuchać opowiadań przeróżnych historyj, klechd, a nawet pospolitych bajek. Przeżycia Marysi zakwalifikowała do kategorji „ciekawych romansów" i, po całodziennem harowaniu, wieczorem kazała sobie po raz setny opowiadać przebieg wypadku, skwapliwie doszukując się w nim pierwiastków erotycznych. Tłuste, nalane jej ciało wstrząsało się od grozy, a jednocześnie każdym fibrem duszy pragnęłaby zobaczyć — choć razik, choć na chwileczkę — osławionego Wiciuka.

— Powiadasz, że chciał ciebie pocałować, że przewrócił cię na ławę? — pytała drżąc cała.

— Ja upadłam sama: był taki straszny — oczy zaczerwienione, błyszczące, dychał tak prędko... — mówiła dziewczyna.

Tak gawędząc nie zwracały uwagi na poszczekiwania psów za oknami i na to, że czasami za ośnieżoną szybą ukazywała się czyjaś obrośnięta twarz, bacznie śledząca ich ruchy.

I zdarzyło się, tak na ostatki, że młody robotnik, wracając z wieczorynki, zauważył cień przemykający się wzdłuż drogi ku olszynie. Następnego dnia od wczesnego rana zbadał ślady przy plebanji i pod oknami i trop w trop idąc doszedł do olszyny. Ptaszek był w pułapce, należało zawezwać pomocy „siły zbrojnej".



Borsuk wykopany w Hołownicy. Fot. M. Zalęska.

Jakoż przyjechało dwóch żandarmów. Czyż mało dwóch spasionych, tęgich chłopów — przedstawicieli „niezwyciężonej" niemieckiej armji — na jednego opryszka? Wszak na piersiach mieli symbole swej godności i władzy — polerowane blachy, a w ręku kawaleryjskie karabinki!

Przodem szedł, węsząc jak pies, młody robotnik, za nim — zapadając się głęboko w swych ciężkich buciskach — posuwali się żandarmi. Wąska ścieżyna coraz bardziej zagłębiała się w mroczny gąszcz olszyny, potem należało skakać z kępki na kępkę, chwytając się kurczowo drzew. Karabiny stawały się nietylko bezużyteczne, ale nawet zawadą... To też przewiesili je na pasie za szyję. Nagle w pobliżu grzmotnął pojedyńczy, stłumiony strzał i zaraz jeden żandarm, podłamawszy pod siebie kolana, ciężko runął twarzą w dół. Trzasnął cienki lód i ciało, brocząc purpurową strugą, zaczęło się pogrążać. Towarzysz jego skoczył ku niemu, usiłując go wyciągnąć, ale noga wpadła mu w lepką masę błota więc cofnął się szybko, z trudem chwytając się wiotkiej drzewiny. Kępki mchu i drobnych krzewin usuwały mu się z pod stóp. Na po-

wierzchnię wody wystąpiły rude plamy i z cichym pluskiem wypływały, pękając, bańki powietrza. Żandarm zwrócił się do siedzącego w kucki na swej kępce robotnika:

— Hans, wracamy, tu niebezpiecznie...

Ale buchnął drugi strzał i żandarm z głośnym jękiem runął w wodę, chwytając się w przedśmiertnym skurczu powierzchni kruchego lodu. W tejże chwili i Hans podniósł rewolwer, strzelając do ciemnej postaci w kępie wysokiego sitowia. Stamtąd dobiegł ryk wściekłości i w oczach Hansa wielka, dziwacznie ubrana, obrośnięta figura ludzka zachwiała się i osunęła w bagno.

Nie słuchając jej złorzeczeń i złowieszczego plusku — jakgdyby wsysania gigantycznej pompy — uciekał co sił, przeskakując po kępach, ostatni świadek leśnej tragedji...

KONRAD JOTEMSKI.



Z ZAGADNIEŃ HODOWLANEGO ODSTRZAŁU KOZŁÓW.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że wszędzie tam, gdzie dzięki ingerencji człowieka przestały o życiu i rozwoju grubego zwierza decydować czynnki naturalne, stan jej, a mam tu na myśli stan jakościowy, uległ poważnej zmianie na gorsze. Tak też jest i u nas z sarnami a ponieważ stan jakościowy cerwidów znajduje swe odzwierciedlenie obok wielkości czyli wagi sztuk w pierwszym rzędzie w porożu, przeto wszelkie szczegóły doń się odnoszące powinny być znane każdemu myśliwemu, który w łowisku swem zwierzynę tą hoduje. Przyczyny owego pogorszenia się stanu jakościowego sarn są różnorodne, jednakże bezwarunkowo najważniejszą jest zupełnie fałszywy odstrzał, jaki od lat kilkudziesięciu panującym był i nadal trwa. Ponieważ ustawa nasza na odstrzał kóz i koźląt w wyjątkowych tylko wypadkach pozwala, przeto w praktyce polowanie na sarny ogranicza się wyłącznie do odstrzału kozłów. Przy pewnej chociażby dozie wyrozumieniu łatwo pojąć, że przygniatająca większość myśliwych stara się oczywiście strzelić najlepsze kozły, t. j. o jak najlepszem porożu, a że nie zawsze najlepszy kozioł jest najstarszym, gdyż taki młodziutki kozioł może być bardzo dobrym jak bardzo słabym bywa staruszek, przeto aż zbyt często się dzieje, że pada kozioł młody o porożu dobrem zamiast starego o słabem. W skutkach potomstwo wywodzi się od kozłów zbyt młodych lub zbyt starych i to jest pierwszą przyczyną degeneracji.

Drugą, nawskroś nienaturalny stosunek płci, utrzymujemy z nieubłaganą konsekwencją przez nieustanne odbijanie wyłącznie sztuk płci męskiej. Znanem też jest zjawiskiem, że z łowiska, w którem ciągłemu podlega prześladowaniu, niejeden kozioł emigruje, o ile oczywiście w sąsiedniem lepsze panują warunki, często też nieliczne silniejsze kozły wypędzają słabsze, a w wyniku mamy jednego kozła na 10 kóz, zamiast jedynie normalnego, jakim jest stosunek 1:1. W niektórych łowiskach, a ma to miejsce w pierwszym rzędzie w dzielnicach Zachodnich, istnieje nadmiar grubej zwierzyny a wówczas ilość paszy nie wystarcza dla jej wyżywienia, co oczywiście odbija się fatalnie na jakości: „Pojemność łowiska", że się tak wyrażę, nie jest nieograniczona, norma zaś przewidziana na podstawie długoletniego doświadczenia znakomitych myśliwych pod żadnym pozorem nie powinna być przekraczaną. W każdem łowisku istnieje, zależnie od jego wielkości, jeden lub więcej typów sarn, przyczem typ taki charakteryzuje jedna z sześciu zasadniczych form poroża, w wysokim stopniu dziedziczna, dalej waga i kolor sztuk i t. d. Typ ten w warunkach



Fot. 1.

pierwotnych trwały i do lokalnych warunków egzystencji najbardziej przystosowany, ulega w niedługim stosunkowo czasie zniekształceniu przez fałszywą gospodarkę łowiecką, powstaje typ cofający się, co się objawia w zmniejszaniu się wagi pojedyńczych sztuk, zmniejszaniu się płodności kóz, pogorszeniu poroża kozłów, skłonności do chorób i t. p. Tak jak każde racjonalnie prowadzone gospodarstwo rolne



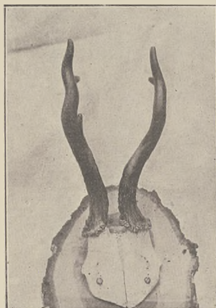
Fot. 2.

czy leśne posiada plan gospodarczy, przewidujący wszelkie czynności na szereg lat naprzód, tak i gospodarstwo łowieckie planu takiego wymaga jeśli zwierzostan ma nas zadowolnić ilościowo i jakościowo, a przytem zapewnić ciągłość korzyści, jakich spodziewać się mamy prawo. Takim planem w gospodarce łowieckiej jest plan odstrzału, ażeby jego móc zestawić, trzeba, według Raesfelda, wiedzieć, jak silnym jest istniejący zwierzostan według ilości sztuk wogóle, według płci i wieku, należy sobie zdać sprawę z tego, jak wysokim jest wiek sarn, do którego one są zdolne do rozpłodu, do jakiego wieku w danym wypadku chcemy je dochować i jaką ilość sztuk i jaki podział według płci i wieku stale przetrzymać zamierzamy oraz z jakiemi stratami, z jakim ubytkiem poza odstrzałem przez nas przewidzianym liczyć się musimy.

Tak, jak łatwem jest określenie ilości sztuk w łowisku, z pewnemi oczywiście wyjątkami, tak trudnem i wymagającem osobnego ujęcia jest określenie czynności zamierzonych, a więc ustalenie właściwego planu odstrzału. Co do wieku sarn, to Raesfeld np. powołując się na cały szereg autorów przyjmuje wiek, do którego sarna dożyć może na 15 — 16 lat, W. Stephan w swej monografji o sarnie na lat 20. Sądzę, że będzie słusznem przyjąć średnią z tych 2 dat, ażeby otrzymać najwyższy wiek w dobrych warunkach bytu podczas gdy w rzeczywistości wiek, do jakiego dorastają nasze sarny mżemy z całą pewnością przyjąć o ¼ niżej jako wypadkową tych wszystkich czynników, oddziaływujących na nasze zwierzostany, o których już wspominałem,a stąd jeżeli o kozły chodzi, kulminacja siły będzie leżała tem niżej, im więcej wyczerpane bywają kozły wskutek nienormalnego stosunku płci oraz im gorsze są warunki paszy. Pod tym względem znacznie różnić się mogą nawet sąsiadujące ze sobą łowiska i gdy w jednem noszą kozły w 9 czy 10-tym roku życia bardzo jeszcze dobre poroże, w drugiem już w szóstym czy siódmym wykazują tendencję zmniejszania swego oręża. W szkicu tym chciałbym ująć i zestawić te wszystkie cechy, które charakteryzują kozła, który przekroczył już maksimum swej siły, a którego przetrzymywanie w łowisku jest niepożądanem. Jest rzeczą zupełnie pewną i zrozumiałą, że przy pewnej wprawie bez porównania łatwiej jest określić wiek jelenia niż kozła a to nietylko dzięki różnicy w wielkości, sprawia to już sam „habitus". Wiek sarny można z całą pewnością określić li tylko na podstawie obrazu zużycia uzębienia; niestety żadnemu kozłu przed strzelaniem go do gęby zajrzeć nie możemy.

Cechy odnoszące się do parostków:

1) Jedną z często spotykanych cech poroża starzejącego się kozła, jest wyraźna jego zbieżystość którąby również stożkowatością nazwać można. Tyki nad różami stosunkowo grube zwężają się ku górze systematycznie, wyraźnie występuje to również w części pomiędzy odnogą oczną i tylną a wskutek częstokroć równocześnie objawiającego się zaniku odnóg przypomina kształtem „marchew". Cała waga poroża zdaje się tkwić nad różami (Fot. 1), padczas gdy u kozła młodego wzgl. w sile wieku jest ona umieszczona na wysokości odnóg ocznej i tylnej (Fot. 2). U kozłów bardzo starych, zdeklarowanych wsteczników tyki nad



Fot. 3.

pieńkami dochodzą niejednokrotnie do wybujałych wymiarów poczem przechodzą w szpice o grubości ołówka, w innych znowóż wypadkach wykazują silne, lirowate zwężenie nad zanikającą, daszkowato opadającą różą podczas gdy ku górze są gołe, grajcarkowato skręcone (Fot. 3).

D. c. n. ZYGMUNT METZIG.

LEPIEJ PÓŹNO — NIŻ NIGDY.

Z prawdziwą przyjemnością i uznaniem dla pana Bolesława Jakubowskiego przeczytałem w Nr. 34 „Łowca Polskiego" artykuł „ W obronie dzika", — który tem większą satysfakcję powinien dać każdemu myśliwemu, iż dotychczas bodaj nikt w tej sprawie głosu nie zabiera, — co jest tem dziwniejsze, że naogół tyle się mówi i pisze o ochronie naszej fauny. — Zdaniem mojem uwagi Sz. Autora w obronie dzika są jaknajzupełniej słuszne i należałoby dołożyć wszelkich starań, aby wyjednać u władz miarodajnych choćby częściową ochronę tej ozdoby naszych knieji jaką jest dzik.

Punktem ciężkości w tej sprawie jest niezaprzeczenie przesadne pojęcie o szkodliwości dzika, którą jakoby potwierdzają wysokie odszkodowania płacone przez leśnictwa rządowe okolicznym wioskom.

Jednakże po dokładnem zbadaniu sprawy każdy dobrze obznajomiony z tą rzeczą przyznać musi, że: 1) szkody poczynione przez dziki zwykle straszniej wyglądają niż są w rzeczywistości, 2) zupełnie słuszne postanowienie Ustawy Łowieckiej o wynagrodzeniu szkód jest jednak w 90% wyzyskiwane przez poszkodowanych dla osiągnięcia nadmiernej korzyści z tej okazji.

Ileż to razy kmiotek nasz zgłaszający szkodę „dziczą" twierdzi, iż wogóle owsa już mu się zbierać nie opłaci, gdyż jest tak zniszczony, a zapytany na ile swą stratę ocenia twierdzi, że conajmniej jest poszkodowany na 5 q. owsa, gdy tymczasem szacując szkody na gruncie okazuje się, iż przestrzeń całego uszkodzonego zasiewu wynosi ½ morgi — bogato licząc — przypuszczalny urodzaj z 1 mg. — 8q., zniszczenie 15 — 20%, maksimum szkody 80 kg. owsa! dla świętego spokoju określa się 100 kg. — A ileż jest takich szkód gdzie szacujący pełen najlepszej woli musiałby do aptekarskich wag się uciekać, by takowe wymierzyć!

Naogół szacunki te bywają zbyt hojne, apetyty wzrastają, odszkodowania są z roku na rok coraz większe, i to jest powodem iż biedny dzik jest wyjęty z pod prawa ochrony. Sądziłbym, iż skoro ta sprawa poruszoną została i niewątpliwie znajdzie życzliwy odgłos wśród kolegów myśliwych, należałoby jakiś konkretny postulat wysunąć choćby ten, iż karalne ma być zabicie lochy dorosłej od 1 lutego do 1 grudnia. — Na większych polowaniach, gdzie omyłki są nieuniknione, gospodarz polowania powinien mieć obowiązek tych kar i przekazywania takowych władzy administracyjnej na cele walki z kłusownictwem, kto zaś poznać dorosłej lochy nie może, a płacić nie chce, niech strzela warchlaki.

ALEKSANDER KARSKI.



GŁOSY I ODGŁOSY W PSIEJ SPRAWIE

Sprawa psa we wszystkich działach przewidzianych w kynologji, oraz jego warunki bytowania w świetle zapatrywań ludzkich na obchodzenie się z oddanym towarzyszem, zawsze będzie dla nas ciekawa i aktualna.

Artykuły propagandowe, omawiające bliżej życie psów rasowych nie pozostaną bez oddźwięku. Ostatnio spotkaliśmy się z 2-ma artykułami w interesującej nas sprawie.

Jeden na łamach „Łowca Pol." w Nr. 32 i 33 p. tyt. „Najwierniejszy Przyjaciel" p. St. Zaborowskiego, traktujący o życiu psa w domu chlebodawcy, bezgranicznem jego przywiązaniu i odnoszeniu się doń człowieka.

Drugi art. w mies. „Mój Pies" w Nr. 3 p. tyt. „Słowo Prawdy" p. Wł. Karnkowskiego, omawiający specjalnie sprawę psa myśliwskiego, brak umiłowania tak użytecznego pomocnika, czem należy tłumaczyć niski stopień naszej hodowli.

Obydwu Sz. Autorom wyrażamy szczere uznanie grona myśliwych amatorów-hodowców, oraz wielką wdzięczność naszych wychowanków za poruszenie sprawy żywo nas obchodzącej, a tak mało jeszcze popieranej przez większość myśliwych.

Oby jaknajczęściej zamieszczone były na łamach pism tygodniowych i codziennych artykuły tej treści w celu zaznajomienia myśliwych ze sposobem obchodzenia się w życiu domowym ze swym towarzyszem, umiejętnością prowadzenia podczas pracy w polu, by wzbudzić zamiłowanie i chęć trzymania psa.

Zaopatrzenie się myśliwych w odpowiedni materjał roboczy przyczyni się do podniesienia naszej kynologji, będącej w danej chwili jeszcze na bardzo niskim poziomie rozwoju.

Z drugiej zaś strony artykuły podobne dodają bodźca hodowcom do żmudnej pracy nad otrzymaniem w rezultacie naszej hodowli psa o wybitnych walorach polowych i ustalonym exterjerze zbliżonym najbardziej do wzorca — standardtu.

Trzymając na pulsie tej sprawy musimy przyznać słuszność wywodów Sz. Autorom zasłużonym na polu myśliwstwa.

Niektóre sposoby ujmowania tych rzeczy przez myśliwych, często spotykane, pozwolę sobie poruszyć.

Wielu myśliwych tuż przed sezonem szuka ułożonego psa za jaknajniższą cenę, aby po okresie polowań zbyć go za jakąkolwiek sumę jako zbyteczny balast w domu. Gdy się to nie udaje, oddają psa na przetrzymanie do następnego sezonu często w ręce niepowołane, co jest jednym z wielu dowodów „umiłowania" psa. Smutnie wypadłaby ocena naszych nemrodów, których szacowanoby w myśl tezy przytoczonej w art. „Słowo Prawdy": „nie mów mi z jakiej broni strzelasz, lecz jakiego masz psa i jak się z nim obchodzisz, a powiem ci jakim jesteś myśliwym".

Inna grupa myśliwych, charakteryzująca siebie dostatecznie, praktykuje wypożyczanie psa na „dniówkę" — przeczytać można ogłoszenia w pismach z propozycją wynajmu np. w ogłoszeniach drobnych „Kurjera Warszawskiego" z dn. 17.VII r. b.: „Baczność Państwo Myśliwi! Wypożyczam wyżły na polowania" i t. d.

Są i tacy myśliwi, którzy dopiero w czasie polowania przypominają sobie o psie i odczuwają brak jego współpracy zwłaszcza jeśli nie mogą odnaleźć zapadniętego stada kur, lub gdy chodzi o odnalezienie postrzałka. Wtedy w obawie o stratę zdobyczy zwracają się do myśliwego polującego opodal z psem, by pomógł zgubę odnaleźć. W takich wypadkach myśliwy otoczony zostaje świtą kolegów w wyniku — jeden pies pracuje dla wszystkich... i psuje się — taki bowiem sposób używania psa nie należy do pouczających.

Na szczęście w ostatnich czasach sprawa zmierza ku lepszemu, coraz więcej myśliwych nabywa psy z linji roboczej i wystawowej, łącząc piękne z pożytecznem.

Pewna choć jeszcze niezbyt liczna grupa myśliwych stara się o racjonalne wychowanie psa, odpowiednią tresurę i otacza go swem staraniem nietylko w sezonie.

Myśliwi z prowincji, którzy mają sprzyjające warunki dla wychowu, winni szczerzej zająć się hodowlą psów rasowych. Dotąd przeważnie hodowla psa ześrodkowuje się w miastach, mimo wielkich trudności związanych z wyjazdami na treningi, założeniem psiarni, zapewniającej psu warunki hygieniczne, ruch, opiekę i t. p.

Dowodem rozwoju tego sportu jest istniejące Tow. Hod. Psów Myśl. i nowopowstały klub settera angielskiego w Polsce. Ponadto jesteśmy w przededniu otwarcia „Pointer-Klubu" oraz „Kennel Klubu".

A. BRUDNICKI.

Z LITERATURY ŁOWIECKIEJ.

Jerzy Potocki: Na wojnie i na łowach. Z przedmową Dr. W. Ziembickiego. **Rok. 1932. Stron 155.**

Oryginalny tytuł książki. Wojna — to łowy... Łowy — to wojna. Tu i tam poluje się. Tu na ludzi — tam na zwierzęta. Dwa te pojęcia mogą w zgodzie stać obok siebie w tytule, a tem bardziej, gdy autor we wstępie podkreśla, że wplótł między artykuły treści myśliwskiej — także epizody wojenne „chcąc podkreślić pewien kontakt, jaki mnie zawsze łączył z pięknem życia, nawet w otoczeniu najdzikszego zniszczenia i grozy wojennej".

I tak jest w rzeczywistości. Rozdziały wojenne są narówni interesujące jak wspomnienia myśliwskie z trzech kontynentów czy z rodzimej kniei. Czytając te wspomnienia wojenne (1914 — 1916) konstatujemy z miejsca fakt, że pisze je żołnierz-myśliwy; bowiem gdzie tylko nadarzy się sposobność, podziwia i chwali Bożą przyrodę oraz używa licznych porównań i zwrotów myśliwskich, jak: „cztery szrapnele, jak cztery złe tygrysy"; — „reszta (żołnierzy), jak spłoszone stado kuropatw, szuka schronienia za górą"; — „po obu brzegach Bugu przywarli przeciwnicy, jak zwierzęta rozjuszone, a długo trzymane na wodzy, by po chwili zgnieść się w śmiertelnym uścisku"; — „Nad Sokolem unosiła się chmura. Niby gniazdo, na które rzuca się ćma drapieżnego ptactwa, by je rozerwać pazurami, tak biły na Sokal setki białawych pocisków"; — „Wtem ucho moje, łowne jako ucho myśliwego, posłuszało suchy trzask, jeden, drugi, niby telekanie głuszca, coraz szybsze, coraz donioślejsze — to grzechot karabinów maszynowych, pierwsza fala nadchodzącego szturmu" i t. d.

Wśród szczęku żelaza rozkoszuje się Staszowskiemi lasami, nad krwawem pobojowiskiem widzi ciągnące ze świstem dzikie kaczki i dziwne, nieokreślone uczucie targa strunami serca: tu na ziemi porwane ludzkie ciała...: niepewność jutra..., tam w górze lot kaczek...: wspomnienie szczęśliwych dni... W Karpatach ryki... ale armat..., to nie ten doroczny, potężny ryk jelenia, „który targał powietrzem, aż lasy szumiały westchnieniem szerokiem i łzy spływały z koron buków odwiecznych". Z spotkanymi ewakuowanymi hucułami z Rafajłowej i Tatarowa mówi o jeleniach, pozostałych w tamtych rewirach, a tu... wojna się przewala.

Nastrojowe te, żywo kreślone obrazy, pełne przytem umiłowania i tęsknoty do ziemi polskiej, czytałem z tem większem zaciekawieniem, że niektóre z opisywanych szlaków wojny przemierzyłem własnemi krokami — z tornistrem na plecach, jako ówczas podoficer jeszcze.

Autor, znakomity strzelec, miał możność polowania na wszelką zwierzynę w Kanadzie, w Afryce i w Indjach. Książka „Na wojnie i na łowach", oprócz trzech wspomnień wojennych, zawiera dziesięć rozdziałów myśliwskich, a to: „Na głuszca (Polesie). — Polowanie na niedźwiedzie w górach skalistych „Rocky Mountains" (Kanada). — Avifauna Sudanu.— Wspomnienia myśliwskie z Indyj. — W górach Karory (Afryka). — Z łowów zimowych (Białoruś, Ma-

łopolska, Polesie). — Śmierć odyńca (w dobrach autora). — Spotkanie (Karpaty). — Łowy w Dawidgródku. — Królowa mszarów (nasza pardwa). Większość wymienionych artykułów drukowana była w „Łowcu". Oddają one wiernie przeżywane chwile, liczne, pełne emocji polowania czy to w Konadzie na niedźwiedzie z mądrym i bezkonkurencyjnie inteligentnym psem Tige, czy w Karpatach w niespodziewanem spotkaniu z potężnym „misiem" i t. p. Sumienne, szczegółowe i pełne plastyki opisy przyrody i krajobrazów, bogata treść każdego rozdziału czynią omówioną książkę wydawnictwem poważnem, cennem wzbogaceniem rodzimej literatury łowieckiej.

Jedna jeszcze końcowa refleksja. Polska jest krajem potężnym i rozległym — ma naprawdę bezkresne lasy i bagna, a te są przecie ojczyzną wszelkiego zwierza. I słusznie autor pisze, że „takiemi łowami, jak obecnie w Polsce, nikt w całej Europie poszczycić się nie może i daleko trzebaby szukać poza morzami, by inne kraje gatunkiem i ilością dorównać mogły naszym wspaniałym myśliwskim rozkładom". Ś. p. Juljan Ejsmond głosił światu drukiem w kilku językach europejskich, że Polska jest rajem dla myśliwych. Bezmiar więc wrażeń, przygód i epizodów mają polscy myśliwi. Dlaczego więc opisów ich tak mało napływa do redakcji „Łowca" i „Łowca Polskiego"? Dlaczego książek o podobnej treść jak Jerzego Potockiego — tak mało pojawia się drukiem? Nie mówię tu o tych, którzy swe ciekawe przeżycia i długoletnie fachowe spostrzeżenia spisali w kajetach i zamknęli je nie bez żalu i goryczy może — w szufladzie starego biurka, bo... „radaby dusza do raju — ale grzechy jej nie puszczają". Czekają lepszych czasów, lub jakiegoś mecenasa sztuki, któryby podjął się wydawnictwa. Mówię jednak o tych licznych myśliwych, dobrze sytuowanych, którym wydanie książki, czy choćby broszury myśliwskiej nie sprawia trudności. A takich w Polsce — Bogu chwała — mamy jeszcze bardzo wiele. W podziękę za przeżywane przecudne niekiedy emocje i wrazenia myśliwskie — podzielmy się niemi z resztą świata łowieckiego i ze światem czytających.

Bogaćmy ojczystą literaturę łowiecką, każdy według sił swoich — spłacając ciążący dług wdzięczności. Istnieje wreszcie także „uczucie zadowolenia potrzeby kulturalnej" — jak pisze pięknie prof. dr. W. Ziembicki w przedmowie do książki Potockiego.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

ZWIERZYNIEC W ZAMOŚCIU.

Kajetan Koźmian (1771 — 1856) pisze w swoich „Pamiętnikach", że o trzy mile od Zamościa widział obszerny na milę zwierzyniec oparkaniony wokół, w którym oprócz jeleni, sarn i danieli chowano też dzikie konie, które tam też się mnożyły. A według Wł. Łozińskiego (1843 — 1914) był to jedyny zwierzyniec, w którym znajdowały się żubry (Życie polskie w dawnych wiekach). Dziś po tym potężnym, magnackim zwierzyńcu pozostała tylko wieś Ordynacji Zamoyskiej zwana „Zwierzyniec".

Zmieniają się czasy i upodobania ludzkie. Życie kreśli nowe drogi. Zanikają, zwolna dawne olbrzymie zwierzyńce leśne — a powstają zwierzyńce po miastach, nie dla hodowli, jak te pierwsze, lecz dla celów naukowych.

Taką placówką naukową jest zwierzyniec w Zamościu, założony w r. 1919 przez prof. tamt. gimnazjum Stefana Milera i dotąd przez niego prowadzony z jaknajwiększem powodzeniem. Niestrudzony ten pracownik potrafił w ciągu kilku lat tak dalece zainteresować swą pracą nietylko mieszkańców Zamościa, ale i dalszych jego okolic, że zwierzyniec ma dziś zapewnione istnienie. „Wziąłem za łeb kryzys i idzie mimo braku subsydjów od przeszło roku", powiada mi prof. Miler. A nie jest to dziś jakiś prowincjonalny kurnik z kilkunastoma zwierzakami.

Wyliczmy okazy tego zwierzyńca, aby dać obraz jego wielkości. Są one: lew, 2 niedźwiedzie: Miś i Basia, 2 dziki, 2 wilki, jeleń, który, o dziwo! zjada żywe króliki, 3 lisy, daniel, którego karmią przez soskę: (znalazła go pewna kobieta piszczącego w polu pod Kaliszem). Dalej są tu: 4 sarny, wydra, borsuki, wiewiórki, koszatki, susły, chomiki, wielka liczba morskich świnek, białych myszy i srokatych szczurów, króliki domowe, tchórze domowe i polne, kuna domowa, fretka przywieziona z Afryki, której używają u nas do polowania na dzikie króliki.

W obszernym basenie wśród trzcin, tataraku i lilij wodnych oraz sztucznych skał, owiniętych bluszczem i porosłych mchem, jest istne kotłowisko padalców, zaskrońców, żmij, traszek, jaszczurek i żab. W osobnym stawiku przebywają żółwie i kilka gatunków ryb.

Ponadto ma ogród ciekawy wybryk natury: baranek o pięciu nogach.

Wejdźmy teraz w świat ptasi. Widzimy tu 5 orłów, myszołowy, gołębiarze, pustułki, kanię, puhacza, puszczyki, kilkanaście sów różnego gatunku, kruki sroki, kawki, wrony i gawrony, bociany białe i czarne, czaple, kurki wodne, czajki, dzikie kaczki, kuropatwy, gęś szkocką, pawie, dzikie gołębie różnych odmian, białą papugę i całą czeredę różnego drobnego, rozświergotanego naszego ptactwa. Latem tonie zwierzyniec w powodzi kwiatów. Mamy tu bowiem około 400 gatunków roślin.

Samo wyżywienie okazów wynosi miesięcznie 300 zł. Wydatek ten pokrywa kasa wstępu. Bilety są w cenie 30 gr., a dla młodzieży 10 gr. Wycieczki płacą po 5 gr. Siano, koniczynę, owies, buraki, ziemniaki, marchew i t. p. otrzymuje zwierzyniec na zimę darmo od okolicznych ziemian, bez żadnej odezwy. Dostarczanie tych produktów dla zwierzyńca odbywa się niemal automatycznie, stało się niejako zwyczajem. Na różne, a ciągłe inwestycje, zakupy etc. potrzeba zdobywać pieniądze. W tym kierunku ma profesor Miler szczęśliwą rękę i wielką pomoc wśród społeczeństwa zamojskiego. Własna hodowla róż i kwiatów przynosi w sprzedaży dochód. Niebywały

sukces przynoszą loterje, gdzie wśród fantów widnieje radjo, aparat fotograficzny, pług, materjały na ubranie, barany, cielęta i t. p.

W niedzielę grywa muzyka wojskowa, a w powszednie dnie zachęca do zwierzęca radjo, zainstalowane bezinteresownie przez miejscową firmę. Frekwencja w obecnym kryzysowym roku wzrosła. Rzuca się w oczy ogromna ilość wycieczek szkolnych z dalszych nieraz okolic.

W zwierzyńcu wybudowano dwa kioski. Tej zimy poraz pierwszy będzie zwierzyniec otwarty dla publiczności.

Mieszkańcy Zamościa i okolicy mają pełne zrozumienie dla potrzeb zwierzyńca i dbają o tę pożyteczną instytucję w całem tego słowa znaczeniu.

Wszystkie imprezy, urządzane na dochód zwierzyńca są w stu procentach udane.

Gdy prof. Miler nie miał ani niedźwiedzia, ani pomieszczenia dla niego, ani też pieniędzy na te dwa wydatki — zwrócił się do społeczeństwa. Efekt? W ciągu dwóch miesięcy siedział rozkosznie łakomy miś w pięknem pomieszczeniu zwierzynieckiem. Podobnie było z lwem, podobnie też będzie z innym zwierzakiem, gdy zajdzie potrzeba, bo to już taka natura Zamojszczan.

Wszelkie uchwały Rady Miejskiej, dotyczące zwierzyńca, zapadają jednomyślnie.

Miło jest pracować i osiągnąć można wiele wśród tak kulturalnego i oddanego otoczenia.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI.

DOROCZNY POKAZ TROFEÓW ŁOWIECKICH.

Przypominamy, że drugi doroczny pokaz trofeów łowieckich w Warszawie odbędzie się w roku bieżącym w pierwszych dniach listopada.

Pokaz obejmować będzie trofea, zdobyte w ciągu roku 1931 i 1932 do dnia 1 listopada, a mianowicie: wieńce jeleni, łopaty łosi, poroża sarn, szable dzicze i inne wyróżniające się eksponaty. Prócz tego miejsce na pokazie znajdą wykresy i zestawienia statystyczne, jak w roku ubiegłym.



JESIENNE PRÓBY POLOWE WYŻŁÓW.

Towarzystwo Hodowli Psów Myśliwskich urządza doroczne próby polowe wszelkich ras wyżłów zapisanych lub mających prawo być zapisanemi do ksiąg rodowych w dniach 18 i 19 września r. b. na polach dóbr Wilanów.

Psy ras angielskich będą próbowane w klasach młodzieży, otwartej i zwycięzców polowych parami, według regulaminu field - trialsów, przyczem aport będzie wymagany.

Psy ras niemieckich będą próbowane oddzielnie według regulaminu niemieckiego, jednak tylko z działu „praca polna".

Do jury zaproszono pp. A. Stolarowa, I. Grymińskiego i A. Śliwińskiego.

Zgłoszenia należy składać na ręce Sekretarza prób p. K. Kamieńskiego, Nowy Świat 35 Redakcja „Łowca Polskiego" do dnia 14 września r. b. godz. 7 wiecz.

Członkowie towarzystw należących do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich proszeni są o jaknajliczniejsze przybycie. Jakiekolwiek opłaty od nich pobierane nie będą

KOMITET REDAKCYJNY: J. Bleszyński, K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, Wł. Gieysztor, I. Gryminski, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. hr Krasiński, St Krzywoszewski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrung, Wł. Zabiełło i St. Zaborowski.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

OGŁOSZENIA DROBNE

Jeleń-szpicak oswojony jest do oddania za 50 sztuk bażantów. 40 kur 10 kogutów) Bronisław Daszkiewicz, maj. Reczków, p. Przedbórz.

Wynajmę blizko Warszawy polowanie dobre kuropatwy. Majątek Bieliny poczta Świercze Kuźnicki.

Po Iwanie i Waldzie do sprzedania

2 pieski

urodzone 7 czerwca 1932, po 150 zł. sztuka

Iwan próby polowe Wilanów w r. 1930 dypl. I st. Wystawa psów Warszawa 1931 2 dyplomy na 2 medale złote.

Walda 4 nagrody polowe w Niemczech, próby polowe Wilanów dypl. I stopnia, Wystawa psów Warszawa 1931 r. 2 dypl. na 2 medale złote (klasa otwarta i klasa zwycięzców polowych).

Po cenie kosztu mogę sprzedać Waldę ur. w r. 1927.

T. ABRAMOWICZ
Płońsk, Niewikla.



Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Wąsska 15.